

MILJENKO JERGOVIĆ

Trzej do Kartalu

Przekład Magdalena Petryńska



SEDNO
Wydawnictwo
Akademickie

Trzej do Kartalu

MILJENKO JERGOVIĆ

Trzej do Kartalu

Sarajewskie Marlboro remastered

przekład **Magdalena Petryńska**

Tytuł oryginału: *Trojica za Kartal, Sarajevski Marlboro remastered*

Wydanie polskie na podstawie: Bodoni, Zaprešić 2022

Wydawca

Bożena Kućmierowska

Redakcja i korekty

Joanna Pomorska

Redakcja techniczna

Danuta Przymanowska-Boniuk

Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne

Janusz Fajto

Knjiga je objavljena uz financijsku potporu
Ministarstva kulture i medija Republike Hrvatske
Książka została wydana przy finansowym wsparciu
Ministerstwa Kultury i Mediów Republiki Chorwacji



Copyright by Miljenko Jergović and Bodoni

All rights are represented by Fraktura, Croatia

Copyright for the Polish translation by Magdalena Petryńska

Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.
Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie w całości lub we fragmentach
jakąkolwiek techniką bez pisemnej zgody wydawcy zabronione

ISBN 978-83-7963-172-8

ISBN 978-83-7963-173-5 (e-book)

Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.

00-696 Warszawa

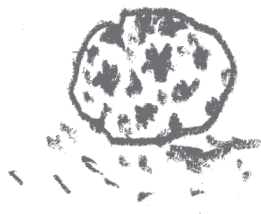
ul. J. Pankiewicza 3

www.wydawnictwosedno.pl

info@wydawnictwosedno.pl

NIEOMIJALNY SZCZEGÓŁ
BIOGRAFII

Kino



Na stole w pokoju leży zielony okrągły przedmiot. Zrobiony jest z gumy, ma w środku wilgotną gąbkę, na którą w nie-regularnych odstępach czasu opuszczają się palce, a potem łapią ze stołu papiery, kartkują blok z formularzami, szukają czegoś wśród setek dokumentów. Jest pora bilansów końcowych i czyham na moment, kiedy palce opadną na gumowy przedmiot i zwilżą się na gąbce, po czym łapię go, ten bezimienny przedmiot, który wcale nie jest łatwo opisać, zbliżam go do nosa i głęboko wdycham gumowy zapach. Zapach jest paskudny i nęcący. Przechodzą mnie od niego ciarki, delektuję się jego ohydą. I natychmiast odkładam przedmiot na miejsce, żeby palce go znalazły, gdy tylko zrobią się suche, żeby okulary, które za każdym razem zsuwają się z nosa, nie skierowały się ku mnie, żeby nie rozległ się głos, który mnie upomina, bym tego nie robił. I tak upływa czas, mija sobota, jest luty, ale grzejnik jest wyłączony, na dworze ciepło jak w maju, rozwijają się smętne pączki na poczerwiałych gałęziach w ogródkach i avlijach^{*1}, miauczą

1 Słowa oznaczone gwiazdką (tam gdzie się pojawiają pierwszy raz) są wyjaśnione w Słowniku turcyzmów (za: Abdulah Škaljić, *Turcizmi u srpskohrvatskom-hrvatskosrpskom jeziku*, Sarajevo 1973). (Wszystkie przypisy tłumaczki).

i lamentują koty nad smutkami swojej płci, a ludzie są coraz bardziej nerwowi, bo zima zawiodła. Mam dwanaście lat. Węzły chłonne mi nabrzmiały, ale sprytnie to ukrywam. Wierzę, że jestem śmiertelnie chory i dlatego nic nie mogę czytać. Każda książka jest za gruba, przez ten mój stan żadnej nie kończę. Jedyne, co mnie naprawdę cieszy, to moment, kiedy trzy palce, wskazujący, środkowy i serdeczny, opadną na zwilżacz, żebym go zaraz mógł złapać i głęboko wdychać jego gumowy zapach.

Palce popychają do góry okulary, które opadły już na czubek nosa, po czym ręka zostaje w powietrzu i zdejmuje okulary.

– Veljko się nie odezwał, pójdziesz ze mną do kina?

Veljko to jej chłopak, kawaler, kochanek – nie wiem, które z tych słów jest właściwe – jedna z dwóch, trzech wielkich miłości jej życia. Już od lat pływa na statku, odwiedza porty na całym świecie i przysyła jej widokówki z krótkimi, oficjalnymi pozdrowieniami. Bez miłosnych wyznań, odpowiednich na pocztówkach, jakie osamotnieni marynarze piszą do swoich ukochanych. Jest żonaty, ma dwoje dzieci, na statek, ona tak myśli, zaciągnął się, żeby nie być z żoną, której nie kocha, a za to wysyłać widokówki do tej, którą kocha. Nie pisze tego jednak, bo widokówki każdy czyta.

Z jakiegoś włoskiego portu zawiadomił, że w Splicie będzie ostatniego dnia stycznia, a do Sarajewa, jeśli nie spadnie wielki śnieg, ruszy w drugą sobotę lutego. Wtedy w kinie Dubrovnik będą już grali film, o którym mówi cały świat. Nie był na nim w Hongkongu tylko dlatego, żeby oglądać ten film z nią. Niech więc kupi bilety, a on zadzwoni rano, w drugą sobotę lutego, zanim wyjedzie ze Splitu do Sarajewa.

Kupiła bilety, ale on nie zadzwonił. Czekala na niego do piątej. I kto wie, co się roіło w jej głowie. Nigdy nic o tym nie wiedziałem. A nie mogłem pytać. Musiałem wymyślać, co ona myśli. I wymyślając, zamiast o niej pisałem o sobie.

W końcu zrezygnowała. Może miała jeszcze nadzieję, kiedy palcem wskazującym przesuwala okulary po grzbiecie



nosa, a potem, z ręką, która została w powietrzu, zmieniła zamiar:

– Pójdiesz ze mną do kina?

Głosem jak przed kłótnią. Jeśli powiem, że nie, ona też nie pójdzie i będzie do późna siedziała nad bilansem, a potem przykryta z głową zaśnie obok pełnego papierów stołu. Będzie zła i obrażona, i jutro będzie miała migrenę. Chciałbym się na niej zemścić i powiedzieć, że nie pójdę z nią do kina, ale tego nie mówię. Film mnie ciekawi. Kto wie, w jakim stanie będę w następny weekend, kiedy mógłbym pójść do kina sam.

– A Veljko?

– Nic. Nie zadzwonił.

To pytanie było małą zemstą. Paznokciem, który skrobnie otwartą miłosną ranę i zaraz się cofa.

Schodziliśmy w dół Sepetarevcem, krok po kroku, jakbyśmy zsuwali się po zboczu wzgórza, gdzie nie obowiązują zasady grawitacji. Rozłożyłem ręce i przytuliłem wilgotne wiosenne powietrze. Przytuliłem mrok, który o tej godzinie i w tej porze roku jest głęboki jak noc, i wyraźnie, jak mało kiedy wcześniej, czułem lekkość wszechobecnego bytu i znikania. Stawiam guliwerowe kroki, rzucam się pędem w dół, po obu stronach przemykają okna sąsiadów, dobrze znane zyrandole, samotne nagie żarówki w domach nieszczęścia, kanapy przykryte kraciastymi narzutami, na ścianach kilimy z czarnym kamieniem w Mekce, drobnomieszczańskie lampy z kutego żelaza, kolorowe tapety, oświetlone kołyski, twarze starych ludzi rozjaśnione jak na świętych obrazach, zdenerwowana kobieta w średnim wieku właśnie połyka lekarstwo, czyjś ojciec otwiera drzwi regału nad włączonym telewizorem, trwa mecz, w którym ktoś kogoś zwycięża, ale na koniec nasi zawsze są pokonani; wszystko to i jeszcze więcej ukazuje się moim oczom, kiedy spojrzę w lewo, kiedy spojrzę w prawo, a gdy patrzę prosto i idę prosto, przede mną i pode mną otwiera się miasto, tak jak otwiera się świadomość kogoś, kto się właśnie obudził, kto jeszcze nie

zdążył pomyśleć o niczym przykrym. Potem, idąc, uciekając przed wyobrażoną śmiercią, obmacuję nabrzmiałe gruczoły na szyi, wsuwam ręce pod pachy, szukam opuchniętych węzłów, w przerażeniu rozkoszuję się tym nagle skróconym czasem. Jakby niczego już miało nie być po filmie, na który idziemy.

– Co ci jest, co ty wyrabiasz?

– Nic – odpowiadam i wciągam głowę w ramiona.

Jesteśmy w mieście, przed sklepem na ulicy Tity, i wszystko staje się płaskie. Świat odzyskuje przyciąganie i każdy przedmiot ma znowu swój ciężar. Ona kupuje w kiosku papierosy, milde sorte, ja maszeruję za nią, zachwyca mnie neonowe światło w lodówkach i zamrażarkach, w długich, zimnych niebieskawych rurkach, w których jest wieczna obietnica życia po śmierci. W sklepie latają i bzyczą wcześniej obudzone zapowiedzią wiosny muchy. Zerkają na kawałki mięsa na styropianowych tackach niedokładnie zawinięte w przezroczystą folię, ale nie zapuszczają się w mróz i zimno. Wierzą biedne, że po tej stronie jest wieczne lato. Drwię z much, żal mi ich, ani trochę nie wątpiąc, że jestem mądrzejszy niż one.

Przed kinem tłok. Zapachy wody po goleniu i ciężkich damskich perfum, przedwojenni panowie w szarych garniturach i kapeluszach, panie szukają czegoś w torebkach, ona się z kimś wita, ja patrzę na ludzi za grubym, ciężkim szkłem, którzy już weszli do środka, dobrze się bawią, rozmawiają, a przed nami jeszcze długa droga, przed nami chaotyczna kolejka, tłum pcha się do wejścia, ku dwóm młodym ludziom, letnim pływakom i skoczkom do wody z wysokiej skały w Zaostrogu i Trpnju. Sprawdzają bilety i minie sporo czasu, zanim do nich dotrzemy, jest rok 1978 albo 1979, sobota w połowie lutego, i czas wciąż jeszcze płynie powoli. Kiedy ona nie patrzy – zdenerwowana, bo ma ochotę na papierosa, a palenie jest w kinie zabronione, więc już myśli tylko o tym zakazie – dotykam szyi, wsuwam ręce pod koszulkę, pod pachy, wędruję, szukam nowych węzłów

chłonnych, tych gruczołów-aniółów mego rychłego końca, dotykam ich, jakby to obmacywanie mogło odkryć i potwierdzić jakąś ostateczność. To klęska, myślę, chociaż nic o niej nie wiem. Jestem u schyłku dzieciństwa, tej wielkiej epoki klęski, i wszystko, co przeżyłem, z czym dorastałem, było pod znakiem klęski i upadku. Upadałem, rosnąc. Do szkoły chodziłem, żeby upadać. Moja wyobraźnia rozleciała się jak przemoczone tekturowe pudełko, z którego wysypują się i turlają w dół owoce głogu, okrągłe, gruzłowate kulki, i przez tę gruzłowatość, turlając się, podskakują. Wkrótce ich nie będzie. Taka jest też moja wyobraźnia, zmarniała przez szkołę, dorastanie i ratowanie się przed wszystkim. Tylko dorosła, rozsypana wyobraźnia nie boi się ciemności. Ja już się jej nie boję, ale obawiam się gruczołów, które pęcznieją i puchną, w których coś się gromadzi.

– Co ty robisz? Złapałeś pchły od kota?

– Kocie pchły nie przechodzą na ludzi.

– No to dlaczego się drapiesz? Nie masz przypadkiem świerzbu?

– Nie drapię się.

– A co robisz?

– Grzeję ręce.

– Zimno ci?

– Nie jest mi zimno, tak sobie grzeję.

W końcu weszliśmy. Słysząc dzwonek. Powietrze jest chłodne. Pracują duże niewidoczne wentylatory. Pachną tajemne alpejskie kwiaty. Noga za nogą, maleńkimi kroczkami, jak staruszkowie o kulach wchodzimy do sali. Jesteśmy na balkonie. Balkon w kinie Dubrovnik jest szeroki i przestronny. To najlepsze miejsca, najdroższe bilety. Kupiła najdroższe bilety w nadziei, że Veljko przyjedzie. Pierwszy raz robi mi się jej trochę żal. Poczucie samotności, bo Veljko nie przyjechał, to dorosła forma strachu przed ciemnością. Myślała, że nie będzie sama, że tego wieczoru będzie w kinie, na najlepszych miejscach, z nim. Że w końcu będzie niesama, w ciemności bez ciemności, w kinie.

Miasto całe w błocie. Przemysł ciężki – Zenica – wysokie, smukłe kominy z wypalanej cegły, doskonale okrągłe, cienkie cylindry wznoszą się w niebo, wali z nich gęsty czarny dym ludzkości na drodze postępu. Przyjaciele w koszulach w kratę. Wypadają do miasta po pracy w hucie, w fabryce postępu. Kufle piwa utrwalane whisky, długie rozmowy, wypawy w noc, niedokończone historie miłosne...

I życie w precyzyjnie synkopowanym rytmie, który odróżnia świat od rajów, rzeczywistość od filmu. Film jest precyzyjnym synkopowaniem życia. Czuję to, kiedy siedzę w ciemności zatłoczonego kina Dubrovnik, w samym środku powietrznej burzy mocnych klimatyzatorów, zakupionych niedawno jako ostatni krzyk przemysłu elektronicznego, fabryki postępu. Ale z urządzeniem nie przyszła instrukcja obsługi albo nie znają angielskiego, więc nie umieją jej przeczytać, albo coś ich pogania, tych ludzi, co rządzą kinem, każe im ustawiać urządzenie na największą szybkość i powietrze wymienia się w atakach potężnych wiatraków, śmigieł, dmuchaw, które za jednym zamachem zagarniają go tyle, ile mieści się w całym roku. A z powietrzem, wydaje mi się, poruszają też czas. Czas w lawinie godzin, dni i lat toczy się, wszystko przed sobą niesie, obala ludzi i budowle, szarpie wspomnienia, wkłada je do książek jak do grobów. Do książek, do uczniowskich bloków, notatników, pamiętników, terminarzy, dzienników i kalendarzy, z datami zakreślonymi flamastrem, długopisem, który słabo pisze, czerwonym końcem dwukolorowego ołówka; zapisuje na odwrocie rachunków za telefon i ogrzewanie, na papierze, w który kto wie ile lat temu piekarz owinął ci chleb, na skrawku papieru z numerem telefonu – czyjego?, obok numeru nie ma imienia – na papierkach oddartych z gazet i włożonych w niedoczytane książki, wszędzie tam czas odkłada wspomnienia, opuszcza je jak do trumny, jak do grobu.

W tym momencie wymacuję węzły na szyi. Ona uderza mnie w rękę. Jakim cudem to widzi? Jest ciemno.

Potem siadają dokoła pianina, śpiewają wielką amerykańską pieśń i z tej pieśni, jak cięcie nożem, nagle znajdują się w Wietnamie. Gdzie przyjaciel próbuje wyciągnąć przyjaciela z szaleństwa w samym środku gry w rosyjską ruletkę.

To pamiętam.

– Widzisz to? – mówię prawie głośno.

Jakiś człowiek upomina mnie, żebym nie gadał w kinie. Tylko na to czekał.

Potem idą napisy końcowe, ludzie wstają z miejsc, wszędzie zapalają się lampy i oświetlają życia, które przez dwie, trzy godziny były uśpione, a teraz pada na nie światło. Staram się nie szukać gruczołów, które w międzyczasie nabrzmiały. Nagle w światłach kina Dubrovnik składają mnie, jak mechaniczną lalkę zrobioną z kilku części, ukryte przedtem lęki. Film się skończył, a teraz życie.

Wychodzimy, noga za nogą, drobnymi kroczkami, jeszcze starsi, wszyscy oprócz mnie są jak zahipnotyzowani, jak uśpieni filmem. Film pokonał mój strach przed powiększonymi węzłami. I kiedy będę go oglądał, a ten film w ciągu następnych czterdziestu lat obejrzę jeszcze co najmniej dwadzieścia razy, pomyślę, choć przez chwilę, o swoich węzłach chłonnych. I dotknę, może, palcami prawej ręki, palcami lewej tych trzech, które nigdy się nie wchłonęły.

Potem, po wyjściu z kina, kiedy nasz krok stał się dłuższy, usłyszałem westchnienie, ze wszystkich płuc w jednej chwili, a może w kilku chwilach, jakbyśmy falami wypływali na ulicę. Wszystko się bieli w tym mroku, w tej ciemności, w tej strasznej nocy. Powietrze jest ostre jak jedwab, jakby od naszego wejścia do kina minął cały wiek, i śniegu jest co najmniej metr. Pada dalej, a my nie widzieliśmy, jak się zaczęło. I nie mogliśmy sobie wyobrazić, że tak sypie. Nie jest już duszno, jest zimno, ale tak zimno, że robi się lekko w płucach i na duszy.

Idziemy w górę przez Wielki Park. Ona się śmieje.

– Czemu się śmiejesz? – pytam.

– Po prostu się cieszę.

W następnej chwili jej śnieżka trafia mnie w głowę, w tył głowy, wcale nielekko, i po karku spływają mi lodowate grudki śniegu. Przebiega mnie dreszcz, odwracam się, co ci się stało, mam ochotę spytać, ale nie pytam, tylko zagarniam dłońmi śnieg, jak mściciel, a ona krzyczy:

– Nie, przestań! – jakbym już ją trafił, jakbym już wepchnął jej pełną garść śniegu za kołnierz.

Tej nocy ostatni raz biłem się śnieżkami z matką.

REKONSTRUKCJA ZDARZEŃ

Nauczycielka



– A do której szkoły chodziłeś, synku? – zapytała, żeby jakoś rozbić milczenie.

– Nie jestem niczym synkiem, moja mama odeszła – odparł ponuro.

Ona na to skuliła się, zamilkła, jeszcze głębiej wciągnęła głowę w ramiona i szła dalej. Asfalt był wilgotny po porannej ulewie, ale świeciło słońce i wszystko dokoła pachniało, tak jak latem w tym mieście pachnie deszczem. Patrzcie, rym: mieście – deszczem, pomyślała, odpędzając niemiłe uczucie.

Przodem szedł czarny, wysoki. Tego знаła. Przed wojną wystawał przed samem koło Świętego Antoniego, palił i pił piwo z butelki. Czasami zrzucił ludziom węgiel do piwnicy. Próżniak, ale pocziwy. Czasami się uklonił.

Teraz idzie i się nie odwraca. Lufa jego karabinu uderza o klamrę u pasa, co drugi krok słysząc dziwny metaliczny dźwięk. Więcej nic. Tylko plaskanie ich tenisówek na mokrym asfalcie. I szuranie jej kapci.

Kiedy przyszli, byli surowi. Nie pozwolili jej włożyć porządnych butów, musiała iść w kapciach. Chyba się przestraszyli. I dla nich jest to nowe. Dla każdego jest nowe, westchnęła, zatroskana cierpieniem świata.

Mały szedł za nią. Jasna cera, jasne włosy, piękny jak anioł. Taki, że nawet jej doświadczone oko nie potrafi rozpoznać jego wieku. Może mieć dwadzieścia pięć lat, ale równie dobrze piętnaście. Dzieci poszły na wojnę. Jej dzieci. Ale wojna nie jest gdzieś daleko, na froncie, tylko tu, blisko, na ulicy, gdy tylko wyjdiesz z bramy, miniesz avliję.

On, w odróżnieniu od czarnego, jest uprzejmy i delikatny. Wie, że ona szybciej nie może. Nie mogłaby, nawet gdyby była w butach. Na szczęście kapcie są nowe. Kupiła je miesiąc przed wojną. Poszła po coś do miasta, był ładny dzień, taki jak ten, więc pomyślała, że wszystko będzie dobrze, weszła do sklepu i kupiła kapcie. Tak bywa. I patrzcie, teraz się te kapcie przydały.

– Do Borišy Kovačevicia – cicho powiedział mały.

– A, chodziłeś do podstawówki imienia Borišy Kovačevicia – ucieszyła się.

Próbowała sobie przypomnieć nauczycielki, ale nadaremnie. To było dawno. A nigdy nie była mocna w nazwiskach. Pamięta twarze wszystkich chłopców i dziewczynek, swoich uczniów. Pamięta, w której części klasy siedzieli, w której ławce. Ale jak się nazywali – za nic. Nawet jeśli ich trzydzieści lat nie widziała, rozpoznaje dzieci w twarzach i sylwetkach dorosłych. Zagaduje ludzi na ulicy, a imion nie zna. Mówi synku do chłopców i dziewczynek, a naprawdę do pań w średnim wieku i łysych, brzuchatych urzędników, robotników, inżynierów, doktorów. Patrzą i wcale jej nie poznają. Nie pamiętają, że chodzili do szkoły. Mówi do nich: wstydiłbyś się, byłam twoją nauczycielką. I wtedy każdy się uśmiecha. Już ona umie postępować z dziećmi...

No i nie pamięta nazwisk nauczycielek ze szkoły imienia Borišy Kovačevicia. Choć zna je wszystkie. Był tam też jeden nauczyciel. Młody, wstydlivy, rumienił się jak panienka. A Czarnogórzec! Wszyscy się z niego nabijali.

Pod jej nogami stromizna jest coraz większa. Asfalt coraz suchszy. Wkrótce nie będzie śladu po deszczu. Kiedy się odwraca, a coś każe jej odwracać się często, widzi, jak

w zupełnej ciszy paruje miasto. Jej miasto. Tu się urodziła i tu została. Mogli wyjechać, ale jakoś nie wyjechali. On teraz leży w grobie na Barach. Na szczęście nie dożył tej wojny. Nie zniósłby tego, serce by mu pękło. Kiedy byli młodzi, ona chciała wyjechać, zobaczyć ludzi, miasta. Dobrze się czuła w Belgradzie, bo Belgrad był duży. I w Zagrzebiu. On prosił: cicho, nic nie mów, bona² nieszczęsna, gdzie chcesz się stąd ruszać? A ona: miasta, miasta, miasta. Kiedy nie wiedział, co jeszcze powiedzieć, pytał: i co, zostawisz dzieci? Na to ona: no dobrze, jeszcze tylko ten rocznik doprowadzę do egzaminów, potem jedziemy. W końcu nigdy nie wyjechali. A on, ten łobuz, ją oszukał! Nie zależało mu na dzieciach, tylko na Żelji³. Co drugą niedzielę ruszał piechotą na Grbavicę, na mecz. Zawsze nosił ich znaczek w klapie płaszcza, został tam, kiedy umarł. Zdjęła go, żeby zobaczyć, co jest pod spodem. A tam okruszki, próchno, czas. Życie. I co by robił, gdyby tego dożył? On, taki, jaki był? Co by robił w co drugą niedzielę? Ale dzięki Bogu nie było go przy niej. Gdyby nie on, może by teraz naprawdę była w Belgradzie. Sama – bo ich jedyny syn na szczęście jest za granicą, w Niemczech – bez nikogo, pośród ludzi, których nic nie obchodzi. Nie obchodzi ich, że ją, która teraz patrzy im w oczy, codziennie zabijają w Sarajewie. Jak by z nimi żyła? O czym by rozmawiali? Więc dobrze, że nie pozwolił jej wyjechać.

– A jakim byłeś uczniem? – spytała.

– Bardzo dobrym – odrzekł natychmiast.

– Słusznie, tak jest najlepiej. Najpierw bardzo dobry, a z wiekiem coraz lepszy. Niektórzy celujący potem się psują. A co ci szło najlepiej?

– Wuef, muzyka, rysunki.

– Po co ja głupia pytam! Bezbeli*, każdy chłopiec tak odpowiada. Wuef, jasne. Dlatego teraz możesz...

2 Bona – familiarny bośniacki zwrot do kobiety, do mężczyzny brzmi: *bolan*.

3 Chodzi o Željezničar, znany sarajewski klub piłkarski, najbardziej utytułowany w byłej Jugosławii.

I nagle nie wiedziała, co jeszcze wymyślić, jak zakończyć to zdanie. Chciała powiedzieć coś w rodzaju: dlatego teraz możesz być żołnierzem, obrońcą miasta. Coś jednak nie dało jej tego wymówić. A nie istniało nic innego, co mogłaby powiedzieć. Więc umilkła. Starzy ludzie, pocieszała się, często milkną. Nie czuła się stara, ale inni tak ją widzieli. To czemu tego nie wykorzystać.

Odkąd wyruszyli – a idą już pełną godzinę, pod nogami mają coraz większą stromiznę, jej stopy zaczynają się wyslizgiwać z kapci – nie było słyszeć ani jednego wybuchu. Żadnego granatu, miny, pocisku. Tylko od czasu do czasu jazgot krótkiej serii, jakby ktoś na podwórku rąbał drewno, albo echo powracające z drugiego końca kotliny. Czasem huk samotnego karabinu, jakby w lesie, u Turgieniewa, myśliwy trafił dzika. Pomyślała, że tak pogodnego dnia nie było od początku wojny.

– Dziś jest jakoś cicho – mówi, ale mały nie odpowiada. Może rozpoznał coś w jej niedokończonym zdaniu. To ją zmartwiło.

Zawsze w dni wielkiego ostrzału, a od poniedziałku do przedwczoraj takie właśnie były – dzisiaj jest chyba sobota – coś się w niej zmieniało. Najpierw chwycił ją, tak jak wszystkich, strach. I wtedy robiła to, co ludzie robią, kiedy się boją. Gdy strach zniknął, a zniknął, jeśli ostrzał trwał zbyt długo albo jeśli dźwięk wybuchów coraz bardziej się zbliżał, jeśli słyszała brzęk tłukącego się szkła, ogarniał ją jakiś dziwny spokój. I poczucie, że ze światem wszystko jest w porządku, bo na końcu następuje sprawiedliwość. A ona jakimś cudem jest częścią tej sprawiedliwości i tego okupienia wszelkiego zła.

Potem dziwiła się samej sobie. Jaka sprawiedliwość, co się z tobą dzieje? I jakie okupienie wszelkiego zła?

Dziwiła się i śmiała z siebie, bo wydawało jej się, że na stare lata straciła rozum i stała się religijna. Bo wszystko to, co do niej przychodzi, to były religijne formuły. I sprawiedliwość, i okupienie zła, no i ten spokój! Jakże, nieszcześna,

możesz być spokojna, kiedy pociski padają coraz bliżej. To nie spokój, to mechanizm obronny, ma go każda ludzka istota.

Nigdy nie wstąpiła do partii. Była jedyną bezpartyjną wśród nauczycieli. Ale podczas gdy Mejra, Rasema i Katica obchodziły swoje bajramy i boże narodzenia, potajemnie wierzyły w to Coś, jej Niebo było puste, całkiem tak jak u Lenina czy Karola Marksa. Niczego nie było. Teraz też nie ma. Lecz jakby coś było w tych dziwnych chwilach, kiedy jej się wydaje, że zło trzeba jakoś okupić.

– Jaki dziś dzień? – zapytała, bo przestała być pewna, czy jest piątek, czy sobota.

– A jakie to ma znaczenie? – nagle, niepytany, odwrócił się czarny. I stoi, jakby wyrósł z bruku, wielki i ponury. Nad jego głową jest niebo, ruiny i sosny. Świat na opak wywrócony.

Na kieszeni czarnego munduru ma, widziała to już, kiedy wychodzili z domu, wyhaftowany złotą nicią labirynt arabskich liter, znaków i słów.

Przestraszona przystanęła tak gwałtownie, że mały uderzył ją lufą karabinu w nerki. Zapędził się. Ale jak to, zapędził się pod górę?

Szybko myślała, co teraz powiedzieć, co zrobić. Nie wiedziała, dokąd idą, a pytać więcej nie mogła. Trzeba było wymyślić coś innego.

– A cóż to masz napisane na kieszeni, synku?

Patrzył na nią i milczał. Oczywiście miał spokojne i puste. Nie był zagniewany. Tylko udawał. W gruncie rzeczy był taki sam jak wtedy, kiedy stał pod samem koło Świętego Antoniego i pił piwo.

– Idziemy! – powiedział, odwrócił się i powoli szedł dalej.

Czuła, jak na dużym palcu lewej nogi robi jej się pęcherz. Co tam, pęcherz to nic groźnego. Nie ma już czasu na pęcherze.

Coś innego ją dręczy. Najpierw nie chciała się nad tym zastanawiać, przywoływała w pamięci inne myśli, ale już ich więcej nie ma. Jest zmęczona i brak jej siły, by myśleć

o czym innym. Nie będzie już o nic pytała małego. Nie wypada, skoro nie chce mówić. A nie wypada w ogóle. Kim ona jest, żeby denerwować obrońców miasta? Jak to ładnie brzmi: obrońcy miasta. Czego jeszcze można bronić na tym smutnym świecie oprócz miasta. Miasto jest muszlą wspomnień. Wszystko, co jej, jest dużo niżej. Ta kotlina też jest w jej głowie, a nie na ziemi.

Na próżno usiłuje odegnąć strachy całego dnia. Tę mękę, która, teraz tak myśli, nadeszła z niespodziewanymi religijnymi majakami, ze spokojem w duszy, kiedy minął wielki strach. I z poczuciem, że naprawdę jest sprawiedliwe, aby ona była tą ofiarą, którą okupi się wszystkie inne. Ej, bona, co ci przychodzi do głowy? Wyobrażasz sobie, że jesteś Jezusem? Przez chwilę słyszała w sobie jego głos. Śmieje się i stoi na środku pokoju, w płaszczu, z Żelją w klapie, i drwi z jej nagle nabytej religijności.

Ech, gdyby miała rozum, nie wpuściłaby w dniach wielkiego ostrzału takich myśli do głowy, tylko spokojnie i poważnie przejrzałaby szufladę z bielizną i znalazła porządne majtki, stanik, kombinację. Wszystko czyste i niełatane! Nie takie jak to. Co ludzie powiedzą?

A potem nie było już asfaltu ani bruku. Nie było drogi. Tylko błoto i kamienie. Nie było już także kapci. Tylko bose nogi w podartych skarpetach. Grubych, wełnianych, żeby nie marzła. Skarpetach starych ludzi. Choć ona nie widziała siebie jako staruszki. Ale inni tak ją widzieli. A czasami można to dobrze wykorzystać. Nie było też oddechu. Tylko ciągła walka o powietrze, dziwne próby zaspokojenia płuc, które już miały dość. I była stromizna. Największa, o jakiej wie. Dopiero teraz wie. A całe życie spędziła w Sarajewie i nie wiedziała, choć musiała patrzeć na to miejsce, ilekroć znalazła się na drugim brzegu Miljacki. Słonecznym, a nie tym zatęchłym, jak go nazywają, gdzie mieszkała. Jak mogła patrzeć i nie widzieć, że jest tak stromo?

Nic więcej nie mogła powiedzieć, o nic zapytać, płuca jej nie pozwalały. A gdyby mogła, spytałaby, jak się nazywa

to miejsce. To ważne, zdobywać nową wiedzę. Przez całe życie, aż do ostatniego oddechu. Żeby tylko nie musiała już oddychać.

– No, dalej – powiedział czarny do małego, który ciągle był za jej plecami.

Dobrze, że to on, pomyślała szczęśliwa. Mógł to zrobić ten nieuprzejmy. Uczucie szczęścia zalało jej myśli i nie było już podartych majtek, które ktoś mógłby na niej martwej zobaczyć. Na niej, która nagle nie może obciągnąć zadartej spódnicy.

To było już po kolejnym dalekim strzale, który rozległ się tego pięknego letniego dnia.

Szalone serce

Pero Magazynier przed wojną za małe pieniądze malował ludziom mieszkania. Na tej robocie, jak i na każdej innej, za bardzo się nie znał. Niechlujny, bałaganiarski, źle mieszał farby, jeszcze gorzej malował ściany i trudniej było po nim posprzątać, niż nie malować wcale. Ale ludzie go wzywali, bo był o połowę tańszy od najtańszego sarajewskiego malarza. Wzywały go zwłaszcza starsze samotne kobiety, emerytki, które lubiły go za to, że przy pracy mówił i mówił, i chętnie słuchały jego opowieści.

Pero nawet opowiadał niespecjalnie. I w tym, jak we wszystkim innym, był niechlujny, bałaganiarski i niegodny zaufania. Lubił skłamać, wymyślić, dodać, upiększyć, nie mogłeś wiedzieć, co jest prawdą i czy w jego opowieści w ogóle jest jakaś prawda.

Jak wszyscy ludzie w owych czasach opowiadał głównie o sobie. Takie było to Sarajewo. Gdy spotkałeś kogoś pierwszy raz albo gdy kogoś poznałeś, mówiłeś, kim jesteś, czym się zajmujesz. Żeby tamten wiedział. Ale i jemu zostawiałeś czas, żeby powiedział swoje. I ludzie rozmawiają, nie milknie gwar w naszej kotlinie. Gdyby jakimś dziecięcym samolocikiem nadlecieć nad Sarajewo i w przelocie nagrać głosy ludzi, słyszać byłoby tylko, jak szemrzą, opowiadając bez końca o sobie i swoich bliskich. Jedni kłamią, inni nie umieją kłamać, więc mówią prawdę, a jeszcze inni trochę tego, trochę tamtego.

Pero Magazynier należał do tych, którzy kłamali, dlatego i to, co teraz o nim powiemy, nie musi być prawdą. Gadało, a i on tak mówił, że matka zaraz po urodzeniu zostawiła go na progu kościoła w Marijindvorze gołego, w pudełku po butach, z karteczką, na której niewprawną ręką napisane było jedno słowo: Pero. Potem wyszło na jaw, kim była kobieta, z czyjego rodu pochodzi Pero – ze Stupu, wnuk